Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 50. POZNAŃ, DNIA 12. GRUDNIA. **1842.**

L'Anti Copernic.

Astrométrie nouvelle suivie de plusieurs problèmes par lesquels il est prouvé que le système de Ptolomée et de Copernic sont également faux, ... que la terre est plus grande que tous les corps célestes rèunis en masse, qu'elle n'a que le mouvement diurne, qu'elle occupe le centre du système planétaire, etc. Par l'Abbé Matalène. — Paris, 1842.

(Dalszy ciąg.)

Za dalekoby nas zaprowadziła chęć wykładania systematu słonecznego Kopernika, ile, że w głównéj przynajmniéj treści powszechnie jest znany. Ale wspomnieć możemy, że podstawa ta nowszéj astronomii tyle już mocną się okazała, iż na niéj już świetny stanął gmach téj niebotycznéj nauki. Omijając bowiem wiele innych zarzutów, jakie obrotom świata kopernikowego czyniono, do ważniejszych ten należał, który zaraz Tycho był czynił, utrzymując, iż nie może być, iżby tyle gruba, tyle ciężka kula ziemska, jako gwiazda jaka w przestrzeniach krążyć miała, i że raczéj z jéj przyrody wynika, iż w miejscu tylko spoczywać może. Gdyby nie zastarzałe mniemania, sam byłby sobie na ten zarzut był odpowiedział, iż i słońce podobnie znaczną musi mieć ciężkość, i podobnież planety grube i ciężkie być muszą, kiedy sam Tycho słońce 140 razy, Jowisza 14 razy, a Saturna z pierścieniem 22 razy większym od kuli ziemskiéj podaje. Myśl ta, jakim sposobem ogromne te bryły ogólnego świata, w przestrzeniach utrzymywać się mogą, wielu wielkich mężów pilnie zatrudniała. Już starożytni przyjmowali we wszystkich ciałach pewną dążność przyciągania się i kupienia: Kopernik okrągłą postać ziemi naszéj przypisał podobnie dążności wszystkich cząstek łączenia się w jedno ogólne ciało. Kepler myśl tę rozciągnął i na księżyc, dając mu dążność ku ziemi, czyli ciężkość na naszą ziemię, a w krótce myślą podobną ogarnął słońce i planety, i podał sławne, pod nazwą Keplerowskiego znane prawo. Jaśniejszą myśl, tak zwanéj attrakcyi i grawitacyi, wywinął Hook w swojém: „an attempt to prore the motion of the Earth, London, 1674.“ Ale wszystko uwieńczyć miał wielki Newton. Podług powieści Woltera, jaką tenże miał powziąść od pani Conduit, siostrzenicy Newtona, upadnięcie gruszki z drzewa na Newtona, dało temu wielkiemu mężowi powód do głębokich badań nad naturą dążności wszelkich ciał w prostéj linii ku środkowi ziemi i innych z tém złączonych przedmiotów, jako n. p. biegu przyspieszonego i z tąd wynikającéj zwiększonéj siły. Objawiwszy swe prawa cząstkowo, dopiéro na usilne nalegania wielkich niektórych mężów, jako szczególniéj Halleja, wydał r. 1687. swe wiekopomne „Philosophiae naturalis principia matematica.“ Przez dzieło to nabrała astronomia nowego wcale kierunku: już nie to pozostało przedmiotem astronomii, co się oku wydaje, i cała ta nauka o kulistościach i kolistościach stała się tylko częścią wstępną astronomii pod nazwą astronomii sferycznéj, kolistéj: ani na tém poprzestała astronomia, iżby z dlugich doświadczeń i dokładnych postrzeżeń wybadywać istotne przestrzenie i ruchy ciał niebieskich, co stało się przedmiotem astronomii teorycznéj, widzialnéj; ale posunęła się do téj wysokości, iż zaczynając w rachunku od ziemi, przez prawa, jakie na naszéj ziemi się pojawiają i są zupełnie pewne, docieka, jak odpowiednim sposobem na niebie wszystko być powinno. Jakże wielki tryumf dla umiejętności, kiedy wyrachunek ten ludzki na

ziemi, na niebie sprawdzonym się okazuje. Trzecia ta, a najszczytniejsza część, otrzymała nazwę astronomii fizycznéj, przyczynowéj, dla tego, że z φύσις, z natury rzeczy, z pierwotnych przyczyn, wielkie pojawy między ciałami całego stworzenia odgaduje; La Plaçe zaś, dla tego, że cała nauka nieba staje się przez nią tylko zastósowaniem umiejętności mechaniki, do wszelkich ogromów niebieskich, mechaniką nieba (Mecanique céleste) ją nazwał.

Ile postępowanie takie do rozumu, do pojawów w naturze, do pewnych prowadzi skutków, okazuje wiele znanych nam dobrze takichże pojawów: samo dokładne wyrachowanie tyle dawniéj obawianych zaćmień słońca i księżyca, wyrachowanie okazania się jakiego komety, kiedy dawniéj, dla nie obrachowanych ich torów, kometę zabobonnie za przepowiednią jakową uważano, przekonywać powinny, ile wyrachunek matematyczny tajemnice odgadywać zdoła. Sławny Bode przez analogią wyrachował, iż między Marsem i Jowiszem planeta znajdować się był powinien; na drugiéj z tablic dzieła jego: Anleitung zur Kenntniß des gestirnten Himmels, z roku 1792., znajduje się tór tegóż planety wypunktowany, a na karcie 492. te słowa: „Zwischen der Mars- und Jupiter-Bahn ist ein punktirter Kreis für einen noch unbekannten, aber wahrscheinlich daselbst vorhandenen Planeten.“ Śmiali się niektórzy, że astronom naturze prawa chce przepisywać. Ale tém większe było podziwienie, kiedy kilka i kilkanaście lat późniéj cztery małe planety, jako potomki może jednego wielkiego, w témże miejscu odkryte zostały; była to Ceres odkryta przez Piazzego w Palermo, dnia 1. Stycznia 1801.; Pallas przez Olbersa w Bremie, dnia 28go Marca 1802.; Juno przez Hardinga w Lilientalu, dnia 1go Września 1804.; i Westa, przez Olbersa, dnia 29go Marca 1807.

W tym stanie rzeczy, kiedy już astronomia nie przestaje na łudzącém nas często widzeniu, ale kiedy przyczyny pojawów odgadła, i okiem rozumu przez badania duchowe do wykrywania coraz dalszych nowych tajemnic postępuje; jakżeż się wydawać musi dziełko, o którém na wstępie jest wzmianka? Ale nie będzie się dziwił panu Matalène, kto sobie przypomni, jak kilka lat temu, kiedy najważniejsze odkrycia i wyrachunki naukę o księżycu tyle naprzód posunęły, kiedy Galileusz, Riccioli, nasz Jan Heweliusz w Gdańsku, nie tylko systemy selenograficzne, ale i takoweż mappy, oparte na dokładnych postrzeżeniach wydali byli, kiedy wprawdzie niektórzy mężowie, jak n. p. Fontenelle, w swych rozmowach o wielości światów, domniemania poważne, oparte na pewnych zasadach, byli poczynili, jak, mówię, ktoś książeczkę o księżycu wydał, uczącą nawet ichtyologii księżycowéj. Wszakżeż ten pseudo-młody Herszel w dobréj swéj nadziei nie omylił się, kiedy w istocie za figle swoje tyle zebrał pieniędzy, ile poważną pracą nigdyby nie był zdołał zarobić. Francya jest krajem broszur, które, jakkolwiek same lekkie, dosyć zawsze znajdą czytelników, po których autorom ciężkie zwykły pozostawać pieniądze. Z takich to zapewne widoków pan Matalène swoje wydał dzieło, i tak starał się swe prawdy i swe niby dowody poustawiać, iż już nie tylko dużo znalazł czytelników, ale między nimi już i wielu takich, którzy w obalenie Kopernikowego porządku świata wierzą.

P. Matalène poważnie swe dziełko zaczyna od wykładu stworzenia świata, opierając swe wywody i dowody o Woltera, o Newtona, a przytaczając ku udowodnieniu, iż tak a nie inaczéj było, cytaty z Wulgaty ś. Hieronima. Dąży zapewne ku temu, iżby z tąd wykazać, iż sama Genesis naznacza ziemi środek wszystkości: przecież nigdzie o takiém stanowisku, ani o obrotach, Genesis nic nie wyrzekła, a Twórcy wolno było pięć dni poświęcić ziemi, téj drobniuchnéj cząstce między wszystkością ogromów, jak równém skinieniem we wtórym dniu dać początek licznym myriadom ciał niebieskich. Toć już dawno starano się pogodzić treść ksiąg świętych z naukami i pojawami, jakie Kopernik i inni wielcy astronomowie światu ogłosili; przecież w istocie nauki te nic przeciwnego wierze w podania Mojżeszowe nie mieszczą. Najwięcéj sprzeciwieństwa możnaby znaleść, jako już Tycho Kopernikowi był zarzucił, w książce Jozuego (rozdz. 10., wiersz 12); ale i w tém miejscu szukać żadnych teoryj astronomicznych nie należy, tém bardziéj, że sam Jozue nie mógł przecież był żądać ogólnego zatrzymania się słońca, gdy w tym razie nie byłby odniósł pożądanych korzyści, kiedy i w mieście Gibeon słońce staćby było musiało; ale raczéj było to wyrażenie, jakie i my przekonani w ogóle o porządku Kopernikowym, powszednio czynimy, mówiąc n. p.: słońce wschodzi, zachodzi; słońce stanęło w znaku barana, i podobnie. P. Matalène za sumienne rzeczy bierze i nie zważa, że ten sam Bóg, który wiele rzeczy prapradziadom i innym poprzednikom naszym, a wreszcie i nam samym jeszcze, wierzyć tylko dozwolił, wlał w człowieka zdolności, pozwalające mu różne głębokie wykrywać tajemnice i osięgać przekonania, tak, że kiedy dążymy do takich przekonań i osięgamy je, wola tylko Jego boska się spełnia.

Po teologicznym wstępie przeszedł p. Matalène do fizycznego pojawu, iż kropla jakiéjkolwiek cieczy puszczona w pęd rzutu, coraz bardziéj się zaokrągla: ale za mało zastósował tę prawdę, kiedy na tém kończy, iż Bóg z powodu tego potrzebował tylko wszelkie elementa, to jest cząstki, mające składać naszą ziemię, bezsilnie puścić, (lâcher,) aby się zaokrągliły. I gdzież mamy to mnóstwo okrągłych cząsteczek, składających ziemię? owszem wszelkie te cząstki, albo części, albo massy, składające kulę ziemską, nie mogą być okrągłe, kiedy ciągłe działanie jednych na drugie różne im postacie nadaje i ogólne to przyciąganie powodem jest raczéj różnych krystalizacyj, które zasadą orykto-, a wreszcie już i całéj geognozyi się stały. P. Matalène nie powinien był prawa tego, zaokrąglania się wszelkiéj kropli cieczy, zastósowywać do jakiegoś zaokrąglania się pierwotnego pierwiastków ziemi naszéj, kiedy o attrakcyi zapomniał; ale mógł raczéj drogą utorowaną przez Newtona, La Plaça, rozpostrzenić tę prawdę z kropelki cieczy na wszystkie ciała nieba, które przez swe pędy i obroty kulistemi staćby się powinny, przez wirowe tylko jeszcze ruchy w elliptyczne zamieniają się sferoidy. Z owego zaokrąglania wyprowadził p. Matalène, że połączenie tych wszystkich cząstek nastąpić powinno w środku ogólnym przestrzeni, a tym środkiem podług niego ma być kula ziemska, dla tego, że ona podobno jest największą i najcięższą, w czém odwołuje się do genezy i do geologii. Inne ciała niebieskie miały tylko przyjśdź „pour être l'ornement de la terre:“ jakaż pseudodemokratyczna arystokracya naszéj kuli ziemskiéj!

Przechodząc pan Matalène do niby matematycznych poszukiwań, utrzymuje, iż niedawno odkrytą została gwiazda polarna południowa; a przecież sam w krótce przyznaje, że i gwiazdy polarnéj dotąd nie było, i iż te polarne służą tylko do zakreślania kół, których środki stanowią bieguny, toć każda gwiazda stała zakreśla koło, z równikiem naszym równoleżne, którego środek daje biegun. Gwiazdą polarną ta się raczéj nazywa, która z pomiędzy gwiazd gołém okiem widzialnych, najbliższa jest idealnego punktu, znajdującego się na przecięciu przedłużonéj osi ziemskiéj z krzywizną kuli nieba. Za gwiazdę polarną północną, a zatém półkuli naszéj, uważa się zwykle kynósura, końcowa gwiazda w małym niedźwiedziu, oznaczona głoską, na którą się łatwo natrafia, ciągnąc idealną linię po dwóch przednich łapach powszechnie znanego wielkiego niedźwiedzia ku północy. Ale nie powinien p. Matal. rozumieć, iż gwiazda ta zawsze jest najbliższą bieguna północnego; kto się dokładniéj z astronomią obeznał, wie, iż gwiazda ta roku 1081. przed Chrystusem istotnie najwięcéj się do bieguna zbliżyła, będąc od niego odległą o 6°28', ale dla wibracyi całéj kuli ku i od biegunów ekliptycznych, ciągle się ta gwiazda od bieguna północnego oddala, tak, iż roku 1914 po Chrystusie, przestanie być gwiazdą polarną, kiedy inna gwiazda, mianowicie Delta małego niedźwiedzia, najbliżéj do bieguna dojdzie. Każde tu wspomniane drgnięcie trwa 25,716 lat, tak, że też n. p. 15,520. r. przed Chrystusem byłaby najbliżéj bieguna znajdować się musiała gwiazda Deneb w Łabędziu, która znowu w témże samém miejscu roku 10,196. po Chrystusie, jeżli Bóg da, znajdować się będzie. Najbardziéj do bieguna zbliżać się zwykła gwiazda α w Smoku, która roku 2807. przed Chrystusem tylko o 9' od bieguna oddalona była i w tę samą bliskość roku 22,909 po Chr. powróci. Bailly, w historyi astronomii starożytnéj (tom 1., str. 142.) przytacza, że astronom chiński Yu-Chi, pod panowaniem Hoang-Ti, r. 2667 przed Chrystusem, postrzeżenia swe astronomiczne czynił i że w rzeczy saméj α Smoka, w nadzwyczajnie bliskiém oddaleniu przy biegunie znalazł.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Poezya.

WEJŚCIE DO KRAKOWA.

(Wspomnienie z podróży w Polsce, z roku 1840.)

Więc to Kraków przed nami; to jego wieżyce,
Co szczyty wysokiemi ku niebu strzeliły?
Jak tu smutno, o Boże, jak puste ulice!
Gdzież się przepych stolicy, gdzie zabawy skryły?

Biedny grodzie, jak dziwnie wyglądasz w téj dobie;
Jak purpura królewska uwalana w śmieci,
Jak nagi szkielet człeka, co już spoczął w grobie,
A w błazna szaty, puste ubrały go dzieci.

Biedne miasto, którego chwała jest w przeszłości,
Którego smutna pamięć jest całą ozdobą,
I którego nadzieja w nieprzyjaciół złości,
Którego niby wolność; — śmiertelną chorobą!

A ty skało wawelska nigdy niewzruszona,
Jakbyś nagle od żalu nad miastem zmiękniała,
Bo żałośnie ku Wiśle spuściłaś ramiona,
Jakbyś w cichych jéj nurtach żal utopić chciała.

I ten zamek, z kąd niegdyś żołnierz Czarnieckiego
Broniąc mężnie stolicy, najezdców rozpraszał,
Z kąd barski konfederat pod wodzą dzielnego
Viomenila 1) Moskalów zastępy wypłaszał.

Ten zamek, w którym niegdyś Zygmunci siedzieli,
Dziś srogi nieprzyjaciel w kordygardę zmienia: 2)
Leci z ozdób odarty do Wisły topieli, 3)
By dzikiego najezdcy uniknął zhańbienia.

I cóż skrywasz w twém łonie? w twéj piersi stwardniałéj
Czyś zachował z przeszłości jaką resztkę, coby
Zbudziła ducha w polskiéj piersi zawsze śmiałéj?
Cóż tam kryjesz? – Nic więcéj, tylko wielkie groby! .. 4)

Wszystko inne i smutne. — Gdzież szukać wesela,
Wesela i radości, co niedawno temu
Tak hucznie grzmiały w grodzie starego Wawela,
Czyż się już nie ucieszym nigdy po dawnemu? —

O powstań Krakusie, zwal głaz, co cię gniecie,
O podźwignij się mężu nam pomny na wieki,
Wesprzyj biedny, ściśniony, a luby lud przecie,
Niechciéjże mu odmawiać twéj dzielnéj opieki.

Podaremnie cię wołam. Tyś już usnął w ziemi,
I jedynie twa pamięć póty pozostanie,
Póki z wiosną ten wzgórek trawą się zieleni,
Póki jeszcze Polaków na téj ziemi stanie.

I ty Wando nadobna, co dla Lachów rodu
Wzgardziłaś nawet czułéj roskosze miłości,
I ty już śpisz od dawna obok ojca grodu,
I z ciebie grób i pamięć zostały z przeszłości.

A ten trzeci tam wzgórek, czyż to też mogiła?
— To nasz dzielny Tadeusz tam teraz spoczywa;
Tam ziemia, którą niegdyś krew Racławic zmyła, 5)
Wielkiego bohatéra dziś w grobie pokrywa.

1) Konfederaci barscy, pod dowództwem Francuza Viomenila, wszedłszy kanałem w skale, na któréj zamek krak. stoi wykutym, wyparli z tamtąd załogę moskiewską.

2) W czasie, w którym wiersz ten pisany był, Austryacy, pod których opieką był wówczas Kraków, w zamku mieli koszary wojskowe.

3) Baszta jedna, która podczas mego pobytu w Krakowie zwaliła się w Wisłę, tuż pod zamkiem płynącą, podała mi myśl tego wiersza.

4) Groby tc kilku królów polskich, jako też Józefa Poniatowskiego i Kościuszki, znajdują się w sklepie katedry krakowskiéj, zbudowanéj obok zamku, również na skale Wawela.

5) Między ziemią, z któréj usypano mogiłę Kościuszki, znajduje się także ziemia z pola bitew, w poemacie tym wzmiankowanych.

Tam i jego popioły z szczątkami rycerzy,
Których pola Szczekocin, Maciejowic znały;
Tam ojczyzny podpora, tam nadzieja leży;
Czyż już nigdy nie wrócą dni szczęścia i chwały?
Wejdę.....

Jak tu miło spoglądać źrenicą sokoła,
Zda się, że cała Polska jak długa, szeroka,
Dalekim się okręgiem rozlała do koła.
Zda się, że ją przebiegam jednym rzutem oka.

Mój Boże, jakże smutno na téj wielkiéj ziemi,
Jak pusto tam, gdzie niegdyś zagłuszał gwar życia,
Westchnieniami się cała odbija ciężkiemi,
A westchnienia te tylko wychodzą z ukrycia.

Gdzie okiem powiodę, pustki i zniszczenie,
Gdzie uchem zachwycę, skargi, płacz i żale;
Czarne chmury, niebieskie zaległy sklepienie,
Z nich deszcz, grad i pioruny wściekłe miecą fale.

O biedna ziemio przodków, o ojców zagony,
Już tak nie wyglądacie, jak za dawnych czasów,
Już plon wasz młodociany nie taki zielony,
Już smutniejsze widoki rzék, gór tych i lasów.

O tu duch bohatéra, co leży w jéj łonie,
Ciągle pewno się wznosi i stoi na straży,
I gdy ogniem zachodnim w wieczór niebo spłonie,
Gwiazdy okiem wygląda z czystéj niebios twarzy.

Tu on patrzy na lud swój, co gorzkie łzy roni,
Tu on w duszy Polaka ogień zemsty nieci,
Bo kto tu był, tu patrzał i zemstą nie spłonie,
Ten nie mógł być z prawdziwych biednéj Polski dzieci!

H. Szuman.

Uwagi ogólne nad literaturą w Galicyi.

(Ciąg dalszy.)

Galicya nie wydała do tych czas żadnego znakomitego talentu w żadnym zawodzie i długo jeszcze nie wyda. Żadna umiejętność w niéj nie zakwita. Obaczmy tych Galicyan, co sobie największą w naukach sławę zjednali, będą to uczeni kompilatorowie, którzy więcéj pamiętali, niżeli myśleli, więcéj wy-

szperali, niżeli utworzyli. Na ich czele staną Ossoliński i Siarczyński, nastąpią Chodyniecki, Zubrzycki, Przyłęcki, a zakończy ten szereg Stanisław Jaszowski, bo przecież gdzieś go pomieścić potrzeba. Wiadomo, że Ossoliński nie miał zdania własnego, jak wszyscy, którzy się namiętnie uganiają za cytatami i chcieliby imponować czytelnikowi nawałem dzieł, które przeczytali. Z rozpraw Siarczyńskiego przekonać się można, jak licho pojmował krytykę historyczną. Tego rodzaju uczeni są niejako moralnymi skąpcami, którzy zbijają bogactwa, lecz nie umieją ich użyć, zostawują tak, jak zebrali swoim następcom. Są to górnicy, którzy wydobywają w pocie czoła kruszec w ziemi zagrzebany, ale od błota go nie odłączą i monety z niego nie zrobią. Takie piętno nosi na sobie czasopism naukowy, imienia Ossolińskich. Większą część stronnic jego zajmowały wyjątki z dawnych dyaryuszów mów, listów i t. p. Gdzie niegdzie ze starych szpargałów odgrzebaną wiadomość o kimsiś zasłużonym przeszłości, na przykład o Konradzie; gdzie niegdzie o związkach Erazma Rotterdama z Polakami, o poselstwie Kromera do Danii, o księgach hetmańskich St. Sarnickiego i t.d.; wszystko z innych książek zebrane. Do najkrytyczniejszych już utworów należą na nic nie przydatne badania, czy od *sławy*, czy od *słowa* nazwali się nasi przodkowie; czy nie lepiéj byłoby atrament nazywać czernidłem? i t. p. To znowu hypotezy o walce Trajana w Kołomyi, albo rozgrzewania dawno przetrawionych potraw, u Niemców, n. p. o zmianach na kuli ziemskiéj, o początkach mowy przez M. Popiela; które dla tego tylko za oryginalne uchodzą, że nasz autór nie z jednego, lecz kilku obcych tłumaczył je autorów i w inny uszył porządek. Napotykamy także uwagi nad postępem oświaty; szkoda tylko, że zamorskiéj i bynajmniéj nas nie obchodzącéj, n. p. o uobyczajeniu Afryki. Wszystkie takie roboty dowodzą w prawdzie, że ci ludzie w Galicyi trudzą się i nudzą, ale nie dowodzą, że żyją. Są to osobliwsze istoty przeżuwające, chociaż bez kopyt rozkłutych. Zasuszają oni troskliwie w bibule wynalezione w starym sianie ziołka botaniczne. Umiemy oceniać prac ich wartość, jako materyałów, ale słusznie możemy od piszącego wymagać własnych jego myśli, słusznie przekładamy żywą naukę. Bo czyż w tém ma być postęp i cała uczoność, ażeby to, co dawne, zakrzepłe odgrzewać? w ten sposób wieczyście gmerając w przeszłości, zapomnielibyśmy o sobie, a na cóż jest przeszłość, jeżeli nie dla użytku współczesnych? Znalazłaby się mozolna nauka, a bez praktycznéj korzyści bez zastósowania do teraźniejszości, bez potrzeby. Długo błądzili uczeni, sądząc, że są wiadomości na to tylko dobre, ażeby były. Wszystkie umiejętności nie wyłączając poezyi, traciły w ich ręku powaby życia i politycznego znaczenia, obumierały, jak kwiaty, kiedy szkodliwy wiatr je obwionie. Nie miał i Słotwiński ani głębszego umysłu, ani twórczości, ani innych nauk, jak prawnictwo; zrobiły wprawdzie szkoły austryackie i z niego pedantyczną maszynę, obracającą się zawsze w jednem, gdyby zaczarowaném kole, ale obcowanie jego z ludźmi wolniejszymi od uczonych przesądów, jego żywszy temperament i przyrodzona zuchwałość, a może nawet niezrozumiane wewnętrzne poczucie prawdy sprawiły, że czasopism przez niego wydany, jeżeli nie ze wszystkiem lepszy, jak poprzedni, to przynajmniéj mniéj martwy. Namiętność i polemika wchodzą już do gry. Jeżeli wyśmianie głupich dzieł Karsznickiego, jeżeli dyalog Lelum Polelum były źle dobranémi, nie umiejętnie użytémi środkami; zamiar ich zawsze był dobry i dążność zawsze prawdziwa. Teraźniejszy dyrektor księgozbioru Ossolińskich, zwanego publicznym, na pośmiewisko *) zapewne, Kłodziński, odgrażał także wydawaniem pisma czasowego. Z drukowanych prac jego nie widziała publiczność do tych czas tylko kilka króciuchnych, cyframi podpisanych anonsów i pare miernych rozpraw w Rozmaitościach lwowskich; gdyż to jest dosyć, aby w Galicyi zostać dyrektorem biblioteki. Ale nie chcemy wyrzekać przedwcześnie i nie powątpiewamy jeszcze o jego usposobieniu i chęci. A jeżeli tylko zdoła uczynić dobry wybór współpracowników, już bardzo wiele uczyni. Cenzora wątpię aby przerobił, prędzéj go ujmie pieniędzmi. A miałby lichoty wydawać, to lepiéj zasłuży się przez dokupno książek nowych, które przecież kiedyś może będzie mogła czytać publiczność.

Zaraz po objęciu Galicyi ustało w niéj wszystko cokolwiek mogło zamiłowanie do literatury ojczystéj budzić i utrzymywać. Każdy był biedą domową zajęty, starał się o ulepszenie majątku, o powiększenie ze wszech stron nadszarpanych dochodów. Bogatsze domy sprowadzały guwernerow i książki z Paryża, język francuzki wziął pierwszeństwo przed polskim, wyższe wychowanie było całkiem francuzkie, a niższego wcale nie było. Chociażby kto żądał polskiéj książki, to trzeba ją było sprowadzać z Warszawy, a bieda to jest ostatnia, po własną mowę chodzić za granicę. W szkołach galicyjskich nie uczono po polsku. Jeden teatr tylko przypominał jeszcze język oj-

---

*) Jak biblioteka poznańska p. Raczyńskiego Edwarda.

czysty, i dawał poznawać ojczyste talenta. Grywano najprzód w ogrodzie Jabłonowskich w mizernéj budzie, umyślnie w tym celu wystawionéj. Dawano tam po większéj części sztuki tłumaczone, a krotochwila *Aryst* była ulubioną. Od czasu do czasu pojawiały się i pierwotwory, jak „Szkoda wąsów," „Płaksa i Wesołowski," „Antreprener w kłopotach" i t. d. W przedmowie do dzieł Bogusławskiego znajdziesz opisaną historyą tego teatru; żałuję, że ich mieć tutaj nie mogę. Z ucieczką dyrektora i to ustało. Wielce się wtedy zasłużył Wronowski, zgromadzając u siebie miłośników sceny narodowéj, zachęcając ich i wspierając. Przez długi czas dawano w domu jego przedstawienia, na które on licznych spraszał znajomych i podejmował uprzejmie. W téj szkole prywatnéj ukształcili się prawie wszyscy późniejsi aktorowie lwowscy; niektórzy z nich przetrwali do tych czas. Grywali oni z początku jako miłośnicy, chociaż publicznie, jednak nie wymieniając swych nazwisk. Jan Nepomucen Kamiński przedsięwziął wypielęgnować te słabe związki w porządną całość, zabrał się do tego gorliwie i czynnie, z upodobaniem i ze znajomością. Bo chociaż zły sam aktór, jak tego dowodziła zawsze naganiana gra jego, n. p. Ojca w Ludgardzie, Ekonoma w Krakowiakach i t. d.; posiadał jednak zasady teoryi. Zabiegi jego i rady, obfite wydały owoce. Z wdzięcznością przyznać potrzeba, iż on się przyczynił stanowczo do prędkiego wzrostu sceny lwowskiéj i do tego udoskonalenia, jakiém się teraz zaleca. Towarzystwo z razu było nie liczne, a dochody ledwie wystarczające na chude utrzymanie. Dopiero w roku 1820 poczęła publiczność coraz żywiéj zajmować się teatrami. Wtedy przybyli z Krakowa Rudkiewicz i Romanowski, lecz ten ostatni nie utrzymał się. Do celniejszych sztuk, jakie przedstawiono, należą: Barbara i Wirginia Felińskiego, Ludgarda Kropińskiego, Gliński Wężyka, tragedye Humnickiego, sztuki klassyczne z francuzkiego, komedye Bogusławskiego, Goldoniego, a późniéj i po raz pierwszy na scenie lwowskiéj przekłady z Szyllera i Szekspira. Pomimo takich postępów, nie objawił się w Galicyi tylko jeden talent dramatyczny, Alexandra Fredry. Wychowany powierzchownie, bo w kraju nie można było inaczéj, usposobiony do błyszczenia w salonach, nie zaś do mozolnego zgłębiania nauk, oddany służbie wojennéj pod Napoleonem, a potém rozrywkom i miłostkom wspólnie z inną stanu swego młodzieżą, wśród próżniaczego życia, lub gospodarskich zatrudnień, z gustem zepsutym, na wzorach francuzkich, nie doświadczając nieszczęść i przykrości, które szczególniéj pobudzają umysł poetyczny; Alex. Fredro nie mógł jak tylko przypadkowo zostać autorem. Ułożył on najprzód dla towarzyszów młodości swojéj, uczestników wypraw, rozpustnych i płochych wybryczków, dramat wszeteczny pod nazwiskiem: *Piczomira*, pełen tłustych dowcipów i rozuzdanéj wesołości. W krótce rozeszło się to dzieło w licznych odpisach po wielu rękach, zachwytywane z zapałem przez młodzież, która się miejsc najrozpustniejszych uczyła na pamięć i z wielkiém powtarzała upodobaniem: zwróciło uwagę autora na talent jego utajony do tych czas, a któryby może dał się użyć do czegoś lepszego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

(Ciąg dalszy.)

Pisma peryodyczne, wychodzące w W. Polsce.)*

(Przez *Julią Woykowską.*)

Pisma peryodyczne są, czyli raczéj powinny być odbiciem ducha narodu, objawicielami jego woli, nauczycielami jego; powinny nosić na sobie cechę jego charakteru, wypowiadać jego dążność, w nich żyć powinien naród, ogół, od którego ich istnienie zależy. — Gdzie naród nie czuje potrzeby organu mówiącego w jego imieniu, za nim i dla niego, tam śpi dusza, tam ona potrzeb nie ma, chyba każda jednostka ma potrzeby swoje indywidualne, poziome jak myśl ograniczona na sobie saméj, nie wiążąca się z myślą pobratymczą, ogólnéj zaś myśli nie masz tam wcale, czyli w moralném znaczeniu nie masz ogółu, tylko jednostki rozrzucone, bieżące każda swoją drogą. — Tak było u nas przed kilkunastu jeszcze laty, nigdzie ruchu, nigdzie życia; spało dziecie ukołysane jednostajném szeptaniem wiatru, jednostajnym szmerem strumyka! Tak mijały godziny, dnie i lata, aż nakoniec i my przecie poczęliśmy się budzić z letargu, a jak ze skały laską Mojżesza tkniętéj wytrysnął żywy strumień, tak na zawołanie głosu powszechnego i na nieplonnéj naszéj niwie poczęło się pojawiać pismo za pismem. Najprzód „Przyjaciel Ludu" ukazał się, za nim pojawiła się „Szkółka niedzielna," za nią „Przewodnik," późniéj wystąpił „Tygodnik," za nim „Dziennik domowy," za nim

---

*) Artykuł ten, równie jak przegląd noworocznika demokratycznego, dowodem, że i Polska doczekała się kobiet, które pojmują ducha czasu i wiedzą, że nie w pijetyzmie szukać ocalenia ojczyzny.

Redakcya (nie Redaktor) Tygodnika.

„Orędownik,“ a nakoniec ukazał się „Postęp“ już ze samego tytułu wiele obiecujący, chociaż biedak ten zwichnąwszy za pierwszym krokiem obie nogi, nie może tym czasem aż za prospekt postąpić. Mamy więc dotąd sześć pism peryodycznych, a potrzeba większéj ich liczby objawiając się między nami, dowodzi dostatecznie, że obudziło się życie ogółu i zapragnęło żywiołów do utrzymania swego. Pomijając dalsze rozwijanie téj myśli, zdatniejszém piórem w Tygodniku już rozwiniętéj, rozebrać tu tylko chcemy i wykazać, czyli? i w jaki sposób? wychodzące u nas dotąd pisma, z których każde w swym rodzaju obowiązało się odbijać myśl ogółu i przewodniczyć mu, uiściły się z wziętego na siebie obowiązku świętego; jak dalece wypełniły powinność ważną, — świętą i ważną, bo mającą na celu szczęście narodu, jego powodzenie, reprezentowanie jego godności.

Najpierwszém z pism, które się pojawiły u nas, jest, jak wyżéj wspomnieliśmy, „Przyjaciel Ludu.“ Lud, a szczególniéj lud nasz, (rozumiemy pod tą nazwą nie kmiotka, ale liczniejszą część narodu, więcéj czytającą) rozpierzchniona gromadka, zapewne więcéj, jak którykolwiek inny potrzebuje przewodniczącego mu przyjaciela, — przyjaciela, któryby starając się poznać jego potrzeby, starał się im zadość uczynić; któryby kształcąc i rozwijając jego charakter, jego umysł, umiał zarazem zastępować go, a przez to stał się godnym, nosić nazwę jego przyjaciela. Takim przyjacielem ludu był Chrystus, który zgromadziwszy lud około siebie, dawał mu nauki, stósowne do jego ówczesnych pojęć, zaszczepiał w sercu jego cnotę, a przez swe zasady i zasługi dla ludzkości, stał się już jako człowiek godnym, być reprezentantem owych wieków — Uczyciel i prawdziwy przyjaciel narodu! — takimi przyjaciołmi ludu są wszyscy, którzy na niego wpływając i w jego mówiąc imieniu, przyczynią się do jego dobra prawdziwego, takim téż przyjacielem winien być każdy, kto miano „Przyjaciela ludu“ przybiera, bo lud to nie magnat, co potrzebuje raz błazna, drugi raz podnóżka, — raz kogo, coby go zabawił, a inny raz kogo, coby mu dogodził; ale jest on myślącym ogółem, potrzebującym reprezentanta swéj godności, swych myśli, swych uczuć, objawiciela swych dążności, doradzcy, uczyciela. Przybierając miano „Przyjaciela ludu“ nasz „Przyjaciel,“ wziął na siebie obowiązki, jakich zapewne nie znał; nie dziw więc, jeżeli ich nie wypełnił. Przejrzyjmy tylko pismo to kartę po karcie, zbierzmy w całość wszystkie jego artykuły, a powiedzmy sumiennie, czy jakikolwiek wpływ na umysł, na serce ludu, wywrzeć mogło pismo, najneutralniejsze, najobojętniejsze na wszystko, co się koło niego dzieje. Jak starzec osiemdziesięcioletni do wszystkich wygód życia przyzwyczajony, który będąc ojcem dorosłych już dzieci, nie zasłyszał nigdy ich krzyku, nie zna ich zdolności, a nie wiedząc, że go już dawno przerosły, z protektorską do nich przemawia miną; podobnie do takiego starca zasiadłszy sobie na wygodném krześle neutralności, Przyjaciel ludu opowiada temuż ludowi, o starych i nowych kaplicach, o starych i nowych kościołach, grodach, tumach, ruinach zamku heidelbergskiego, pomnikach marszałka saskiego i t. d., a to wszystko tak zimno, tak twardo, tak sucho, jak gdyby jedyném zadaniem jego było zrobić lud e n c y k l o p e d y ą, mieszczącą w swéj głowie opisy Bóg wie jakich kościołów, pomników, obrazów, kaplic etc. Nie jesteśmy bynajmniéj zdania, iżby pamiątki *dawne i narodowe* nie miały znaleść miejsca w pismie dla ludu, owszem wszystko, co wiąże teraźniejszość z przeszłością, miejsce tu mieć powinno: ale nawet ta narodowa przeszłość powinna tylko tak być tu wprowadzoną, iżby związana z obecnością, nie była suchą, spróchniałą kością, ale iżby między nią a obecnością była nić wiążąca. Lecz cóż po owych wszystkich opisach z ziem Bóg wie jakich, nic wspólnego z interesem ludu nie mających? owych jałowych opisach: „o krześle Dona Marcina aragońskiego,“ „o klejnotach kościoła katedralnego w Barcelonie?“ i t. d. Nie wie Przyjaciel ludu, że bezstronnemu krytykowi zdaje się to wszystko być żartem z narodu, maszkaradą, przed okiem jego przesuwającą się. W tenże sam sposób, jak o kaplicach, pomnikach, etc., opowiada „Przyjaciel“ ludowi o sławnych mężach i kobietach, z których wszyscy i wszystkie do siebie, jak liście na drzewie podobne, a których imion chyba nauczywszy się na pamięć, spamięta ich lud, aby kiedyś część z tego szeregu przeklinać. Między opisami tumów etc., suchemi biografiami, dawniéj przemknęła się jeszcze często powiastka gminna, z sercem czystém, z duszą prostą, w któréj, choć mu ją nieraz Bóg wie w jakie poprzestrajano kabaty, poznawał jeszcze naród pierwotną swą wiarę, swe myśli, swe uczucia; lecz to ustało, przebrało się powoli, a natomiast *) czytamy raz po raz, to pochwały JW. Raczyńskiego, to podróże do Afganistanu i przedruki z dzieł, Bóg wie z kąd prawo do obywatelstwa w „Przyjacielu ludu“ mających. Darmo tu szukać rozbioru dzieła dla ludu stósownego,

---

*) Od czasu pana Wielmożnego bibliotekarza p. Raczyńskiego. *Przyp. Redaktora.*

lub powieści przemawiającéj do jego serca, do umysłu, w duchu czasu, rozprawy dotyczącéj czy duchowego czy materyalnego jego dobra, rysu zdjętego z jego charakteru, jakiegokolwiek odbicia charakteru jego, narodowości. Cała przeszłość Ludu jest tu w *kaplicach*, podróżach, i t. d.; cała obecność w suchych biografiach i pochwałach hr. Raczyńskiego; cała przyszłość w przedrukach. O bezecna nad bezecne przyszłości Ludu! Smutne twe przeznaczenie biedny Ludu, jeżelibyś nie miał lepszych przyjaciół.

Pismo dla ludu, które zamiast podawać przedmioty ludu dotyczące, prawi mu tylko stare historye etc., bajeczne lub nie bajeczne, nie mające żadnego związku z jego życiem; 1) sądząc, że go do reszty utuli, pokazując mu obrazek, uważając tenże lud za dziecię nierozumne, — żartuje sobie zeń gorzko czyniąc krzywdę jego godności. — Tak czyni, nie wiedząc o tém, „Przyjaciel ludu," poniżając Lud do zimnego, obojętnego słuchacza, bez żywotnéj myśli, bez oka na wszystko, co się koło niego dzieje, bez ucha na głos czasu, bez sądu, bez zdania, bez opinii, jak człowiek, który nie ma w sobie nic z dążącego wiecznie ku doskonałości Ducha bożego, tylko duszę zimną, martwą, suchą, od zwierzęcéj o mało co wyższą. Podobnym *tuzinkowym* pismom przystoi nazwa, jaką noszą w języku niemieckim: „Hellerblatt, Pfennigmagazin;" ale żadną miarą szczytne a wiele obiecujące miano: „Przyjaciela ludu," do usprawiedliwienia którego, nasz Przyjaciel ludu nie uczynił jeszcze najmniejszego kroku, któryby nam obiecywał, iż *na przyszłość przynajmniéj*, pismo to wyrobi się na to, czém być powinno.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Lewalda Europa zawiera dobrą krytykę dramatu nowego Halma: „Der Sohn der Wildniß." Przedmiot tego dramatu jest, iż dowódzca zdradza dla tego swą ojczyznę, że pokochał dziewczynę Greczynkę, przeciw któréj narodowi wojuje. O dziele tém pięknie napisaném 2), lecz nikczemném w swych zasadach słusznie korrespondent powiedział, że gdyby żył Börne, napisałby o niém, że Parthenia jest Wiedenką użytą do tego, aby z poczciwego, jędrnego człowieka, który nawet mógłby się kiedy stać Republikaninem, zrobić zwierzątko konserwatywne.

Venedey wydał nowe dziełko: Der Dom zu Köln.

Pewnie nigdy imie Jezusa bardziéj niebyło sponiewieraném, jak dziś w Polsce; dowodem nowym dzieło nikczemne: „Chrystus Pan w obec naszego wieku," z francuzkiego. (Paryż i Berlin.) Wstydem jest, że pisma, które w Paryżu stare baby z Bon vieux temps, mieszkające na Faubourg St. Germain, czytają, Polak śmie przekładać na język, który już dziś brzydzi się takiém św. ń...em (nie wypisujemy wyrazu).

W Poznaniu wyszło wcale nie zle dziełko: „Rys statystyczno-jegr. Galicyi austryackiéj 3), skreślony przez M. W. Między innemi doniesieniami znajdujemy str. 108 o cenzurze: „Cenzor częstokroć cudzoziemiec nie umiejący języka polskiego, wykreśla i ogołaca rękopisma według swego widzimisię. Historycznych dzieł ani myśli wydać, bo słowa: „Polska, Polak, ojczyzna," są wyklętemi w biórze cenzury, a zdarza się często, że cenzura chce i cały sens pisma odmienić. I tak raz ktoś w powiastce przytoczył znajomą piosnkę do wąsów:

I głos się rozszedł między Wiedenkami:
Jakże mu pięknie z temi wąsami!

Cenzor przemazał Wiedenkami i napisał Francuzkami." 4)

Woher und wohin? Schöna, wywołało jędrną broszurkę G. Feina, wydaną w Strasburgu, gdzie odsłania te tirady, które i naszą dobroduszną szlachtę księstwa umiały omamić. I nie dziw, bo —

Kto się chce do woli naśmiać, niech czyta wyszłeu Günthera w Lesznie: „Cudowne nawrócenie Izraelity Alfonsa Ratisbonne," który od niejakiego czasu bawi, jak ogłasza, w Paryżu, gdzie się podobno codziennie w kaplicy Siostr miłosierdzia (jakich?) znajduje. Nie bez przyczyny, bo może Messyaszów wszystkie dostaną. A to znów nowy cud będzie dla wyznaczonéj komissyi, która odbywała swe posiedzenia w Casa professa, debatując nad tém cudowném nawróceniem. Nowy Towiański!

Pismo warszawskie, Jutrzenka, ogłosiło w prospekcie, którego barbarzyńskiemi literami wydrukowanego tytułu nie umieliśmy przeczytać, iż w miesięcznych zeszytach od r. 1843. wychodzić będzie.

1) A to z polecenia magnatów.
Redaktor.

2) Któżby nie uwielbiał czule: „Mein Herz ich will Dich fragen" i t. d.

3) ?
Red.

4) Red. Tygodnika choć pod tak światłym rządem doznawała tegoż samego nie dawno, i tak n. p. cenzor w Nrze 7mym r. b. zamiast *kommunia* kazał jéj napisać *spółeczność*.

Przy końcu drugiego półrocza tomu piątego Tygodnika literackiego uprasza się Szanownych Prenumeratorów o wczesne złożenie przedpłaty, wynoszącéj zł. pol. 12., na król. pocztamtach lub księgarniach; na pierwsze półrocze tomu *szóstego*, w przeciwnym bowiem razie nie naszą byłoby winą, gdyby przerwy w nadsyłaniu numerów doznali.

Redakcya Tyg. lit.

Redaktor: *A. Woykowski*. Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.